



Podstawową przyczyną przeprowadzenia operacji w Wąwozie Marmolskim było porwanie 16 cywilnych specjalistów. Zgodnie z naszymi danymi wywiadowczymi to właśnie herszt grupy tamtejszych bandytów zorganizował to porwanie. Wydano nam rozkaz zniszczenia bandy. Zadanie to miało również znaczenie polityczne, bowiem herszt bandy Zabibul tytułował się komendantem dowodzącym Frontem Północnym. Ataki na nasze kolumny były przeprowadzane z wąwozu już od 1980 roku. Wtedy skierowano tam nasz batalion, ale nie był on w stanie zniszczyć duszmanów umocnionych w wąwozie.



Ciężki bój

I.J. Stodierewskij

w Wąwozie Marmol



Według danych rozpoznania w grupie bandytów było do 1300 duszmanów, a ich baza była dobrze umocniona i znajdowała się ok. 8-10 km od wejścia do wąwozu. W oparciu o te dane opracowano plan jej zdobycia. Jak się potem okazało, baza duszmanów znajdowała się tuż u wejścia do wąwozu.

Dla przeprowadzenia operacji zostało zgromadzone potężne zgrupowanie wojsk, były to jednostki nasze i armii afgańskiej. Oddziały i jednostki, ściągnięte do tej operacji, były rozrzucone na bardzo rozległej przestrzeni. Oprócz nas na zgrupowanie składały się oddziały 201. Dywizji Zmotoryzowanej oraz oddziały wojsk ochrony pogranicza. Ze strony afgańskiej były to pododdziały ze składu dywizji piechoty rozmieszczonej w Mazar-i-Szarif, brygada komandosów z Kabulu

i oddziały cirandoja¹. Aktywnie działało lotnictwo, zwłaszcza nasze helikoptery z Kunduzu. Uderzenia bombowe przeprowadzało lotnictwo z terytorium Związku Radzieckiego, prawdopodobnie z lotniska Kokojty.

Rankiem nasza kolumna skierowała się do Wąwozu Marmolskiego. Na czele szły dwa trały minowe zbudowane na bazie czołgów T-55. Do wejścia do wąwozu doszliśmy bez incydentów.

Obóz polowy rozbiliśmy 300 metrów od gardzieli wąwozu. Była ona szeroka na 15-20 metrów, a więcej niż połowę gardzieli zajmowała wypływająca z wąwozu rzeka Marmol. Otaczały ją pionowe skały wysokie na kilkaset metrów. To był odcinek, który powinniśmy szturmować. Dużo wdziałem gór, ale te były jak z bajki o Ali – Babie;





ani jednej ścieżki wiodącej na górę, tylko lekko pagórkowaty teren i wyrastające zeń natychmiast pionowe skały.

Oblężenie

Jak tylko wtrąciliśmy swoje trzy grosze, natychmiast zostaliśmy ostrzelani z karabinów maszynowych. Duszmani byli rozmieszczeni wewnątrz wąwozu, konfiguracja skał nie pozwalała im założyć stanowisk ogniowych na okolicznych grzbietach. Widocznie uważali, że nie ma takiej potrzeby. Stanowiska ogniowe ulokowane wprost na skałach mogły stać się łatwą zdobyczą dla lotnictwa albo zostać zniszczone przez artylerię. Jak się potem okazało, duszmani dysponowali mnóstwem naturalnych pieczar. Były ich setki po obu stronach wąwozu i to położone na różnej wysokości. Tu też skały były pionowe i z jaskiń zwisały drabiny. Ale wszystko to zobaczyliśmy dopiero za dziewięć dni, kiedy już zdobyliśmy bazę duszmanów.

Do wylotu wąwozu można było swobodnie podejść, dla przeciwnika byliśmy nieosiągalni. Ale jak tylko stojąc na ścieżce wiodącej do wąwozu za występ skały wysuwano na kiju hełm, natychmiast dzwięczała długa seria.

Uważam, że duszmani zaczęli walkę ignorancją. Należało przepuścić jedną naszą kompanię, przecież nie wiedzieliśmy, gdzie w wąwozie znajduje się przeciwnik. Za gardzielią wąwóz z lekka się poszerzał, ale tylko na jakieś 60-70 metrów i tam można było dla atakujących przygotować niszczycielski worek ogniowy. Mało kto by z tej kompanii ocalał. Jakies dwieście metrów od gardzieli wąwóz skręcał o 30 stopni i znajdował się tam potężny bunkier, którego strzelnice wyzierały na wejście do wąwozu. Czyli wąwóz mógł być ostrzeliwany nie tylko z flank, ale i silnym ogniem frontalnym.

Sąsiadów ani z prawej strony, ani z lewej strony nie było, wszystkie elementy naszego ugrupowania, jak już mówiłem były rozrzucone po górach, dookoła wąwozu. Wysłać kompanii na duże odległości nie miałem prawa, tam powinny być działać inne nasze oddziały. Naszym zadaniem było szturmowanie wejścia do wąwozu.

Widząc, że szturmując od czoła, niczego nie zdziałam, a tylko wygubię ludzi, wysłałem drugą kompanię, pod dowództwem starszego lejtnanta Wojtienko, aby spróbowała obejść wejście do wąwozu z lewej strony. Kompania ta znalazła jakieś ścieżki w odległości półtora kilometra od wąwozu, ale była w stanie wejść na grzbiet jedynie na 100 metrów. Została ostrzelana i zaległa.

Na wykonywanie manewrów nie pozwalał teren. Ponownie stanęliśmy przed koniecznością ataku czołowego. A do takiego ataku chodziliśmy tylko raz, przy zdobyciu Dżar-Kuduka. Podstawo-



BWP w Wąwozie Marmolskim

wą metodą prowadzenia walki było przenikanie na dostępnych kierunkach. Do tego w kompanii pojawili się ranni i ją wycofałem. Pamiętam, jak przynieśli lejtnanta; kula trafiła go w plecy, leżał na skałach, a tamci strzelali z góry. Kula wyszła mu w okolicy brzucha. Pytam swoich medyków – „jaki jest stan rannego”? Mówią, że nie wyżyje, zranienia w brzuch są bardzo niebezpieczne. Helikoptery go wywiozły, a po dwóch tygodniach... powrócił do oddziału, żywy i prawie zdrowy. Okazało się, że lejtnanta uratowała kamizelka kuloodporna, którą miał na sobie. Kula ją wprawdzie przebiła, ale zmieniła kierunek, przeszła niejako dookoła ciała i wyszła w okolicy brzucha; nie uszkadzając jelit. Cuda jednak się zdarzają.

Tak zaczęło się długotrwałe, dziewięciodniowe oblężenie wąwozu. Żadne nasze próby bezpośredniego wdarcia się do wąwozu nie odniosły sukcesu. Ja nie próbowałem tego zrobić, gdyż mogłyby to spowodować wielkie straty. Wpierw trzeba było zlikwidować stanowiska ogniowe przeciwnika. Praktycznie cały dzień nad wąwozem wisiało lotnictwo; naprowadzałem je na wąwóz osobiście, właściwie tylko na sam wąwóz, a nie na stanowiska ogniowe nieprzyjaciela. Jak już mówiłem, pozycji przeciwnika nie widzieliśmy. Ale odległość między nami była nie większa niż 30 metrów. W takich warunkach było dla mnie najważniejsze, żeby mi nie zabili żołnierzy.

Przy naprowadzaniu helikopterów było łatwiej; prędkości były małe, wysokości też niewielkie, im było łatwiej się zorientować, gdzie jest wróg a gdzie swoi. Za to samoloty szturmowe, które przylatywały z lotniska w Kokojtach, z południa Uzbekistanu, były niebezpieczne. Ustawiały się w krąg, po cztery maszyny i kolejno zachodziły na cel, początkowo lotnicy bombardowali cele,



„Nie pamiętam już, któremu z oficerów przyszedł do głowy pomysł, by podnieść naszych żołnierzy na pochyłe skały za pomocą dźwigu samochodowego, co pomyślnie wykonaliśmy”.

a potem ostrzeliwali je z działek i karabinów maszynowych. Działo po zegarmistrzowsku, ani jedna bomba, ani jeden pocisk nie rozerwał się poza wąwozem.

Jak tylko pojawiała się lotnictwo, natychmiast radiem łączyłem się z obserwatorem. Był nim samolot na bazie AN-24, którego modyfikacji z ziemi nie było widać. Całymi godzinami krążył on na wysokości powyżej 4000 m i kierował lotnictwem po moim naprowadzaniu. Teraz tego dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że na jego pokładzie znajdował się dowódca lotnictwa 40. Armii pułkownik Miedwiediew. Ja z ziemi podawałem kurs, a moi chłopcy odpalali flary, aby zaznaczyć nasz przedni skraj. Zazwyczaj lotnictwo kierowaliśmy kursem 0, dokładnie z północy na południe wzdłuż wąwozu.

Czegóż to wówczas na ten wąwóz nie zrzucano... Były i zwykłe bomby lotnicze i bomby o wielkiej mocy, palono napalmem – a pożytku z tego wielkiego nie było. Gdy tylko próbowaliśmy wleźć głębiej w wąwóz, zaczynał się gęsty ogień karabinowy. Jak już pisałem, w czasie nalotów duszmani chowali się w jaskiniach, których nie mogły zlikwidować żadne bomby, bo bezpośrednie trafienia w nie były praktycznie niemożliwe i gdy nalot się kończył oni wypelzali na stanowiska ze swoich nor.

Podczas jednego z takich nalotów ostrzelali nas z miotacza min. Widocznie przeciwnik zorientował się, skąd naprowadzane jest nasze lotnictwo. Lotnictwo naprowadzałem bezpośrednio z obozu, stojąc przy BTR, na którym była zamontowana radiostacja do łączności z samolotami. Nasz obóz, jak wspominałem był rozwinięty o trzysta metrów od wejścia do wąwozu.

Pierwsza mina była niedolotem, druga wybuchła z przelotem, było jasne, że biorą nas w nożyce. Rozkazałem wszystkim schować się pod pancierzami; ogień był prowadzony z amerykańskiego 81 mm miotacza min. Panczerza na-

szych maszyn taka mina nie przebijała. Trzecia mina rozerwała się 30 metrów od nas.

Nie mogłem się ukryć, podczas gdy atakowało nasze lotnictwo, bo trzeba było korygować jego działania, inaczej nakryliby moich żołnierzy. W momencie rozerwania się kolejnejminy zdążyłem wskoczyć w wąskie przejście między samochodami. Jeszcze podczas skoku poczułem uderzenie i ból w piątym punkcie. No, myślę przyjechałem, powojowałem półtora roku i ani jednego zadrapania, a tu być zranionym w tyłek, wstyd. Kpiny na całe życie, jak w przedstawieniu „Iwan i Maria”, które oglądałem w Kijowie, gdzie w głównych rolach występowali wspaniali artyści Waleria Zakłunnaja i Aleksandr Mażuga.

Wstałem, obmacałem się; spodnie całe, krwi nie ma, a ból jest. Widocznie mnie uderzyło kamieniem, otoczakiem. Ale rufa okazała się silna, nie pękła. Trzy dni siedziałem na krześle jednym bokiem. Właściwie właśnie w ten dzień skończyłem 35 lat, żona z tej okazji przesała mi ze Związku Radzieckiego butelkę szampana, a my ją wieczorem wypiliśmy z okazji urodzin i całego ządu.

Przysłano nam baterię armat przeciwlotniczych 57 mm. Nie używaliśmy jej, gdyż mogła prowadzić ogień tylko na wprost, a przeciwnik był za grzbietami. No, ale także i dla niej znalazła się praca. Chłopaki szybkoitko wyliczyli, skąd duszmani mogli korygować ogień miotacza min. Miejscem tym okazała się niewielka jaskinia, mająca około metra średnicy. Przeciwlotnicy wsadzili tam trzy pociski jeden za drugim, chociaż była ona położona w odległości ponad półtora kilometra od nas i na wysokości około 600 metrów. Młodcy trafili jak w kopiejkę. Z drugiej strony grzbietu poszedł dym, widocznie jaskinia była przelotowa. Miotacz min więcej już ognia nie prowadził.

Walkę prowadziliśmy nieprzerwanie dniem i nocą; trzeba było znużyć przeciwnika. Nocą organizowaliśmy ataki psychologiczne. Zaczynaliśmy strzelać z całej posiadanej broni, krzyczeliśmy „hura”, ale do ataku nie szliśmy i tak po kilka razy w ciągu nocy.

Kiedy zrobiliśmy to pierwszy raz, zadzwonił generał lejtnant Szkrudniew i zapytał, co u nas za zamęt, gdyż pomyślał, że duszmani chcieli się przerwać.

W jedną z nocy zameldowali mi, że z prawej strony od wejścia do wąwozu z gór zeszło trochę naszych żołnierzy piechoty, z dowódcą kompanii na czele. Jak już mówiłem, nasze działania bojowe były prowadzone na rozległym obszarze. I to był jeden z tych oddziałów, które działały z naszej prawej strony. Ale podchodzić do nas nie mogli. Kiedy zacząłem rozmawiać z dowódcą tej kompanii, a był nim kapitan, wielkie chłopisko dwumetrowego wzrostu, okazało się, że jest on pijany i swoją kompanię w istocie porzucił.





Żołnierze jego kompanii, przez trzy – cztery godziny niewielkimi grupami, po pięciu-sześciu ludzi schodzili z gór, niosąc ze sobą rannych. Rozmawiać z tym draniem i nie było można, i się nie chciało. Kiedy wyszedłem z namiotu, podeszli do mnie nasi oburzeni oficerowie i poprosili o zezwolenie obicia temu wyrodkowi mordy. Ja oczywiście zabroniłem, ale zameldowałem o tym zdarzeniu w sztabie zgrupowania.

Widząc, że utknęliśmy w jednym miejscu, przybył do nas na pozycje bojowe Szkrudniew, w tym celu, aby na miejscu zorientować się, dlaczego przestępujemy tak z nogi na nogę. Podjechaliśmy z nim BTR-em do samego wejścia wąwozu. Pieszko podeszliśmy do moich chłopców znajdujących przy najbliższej od wejścia skale. Wystawiłem za skałę rękę i szybko ją cofnąłem, natychmiast zabrzmiała salwa karabinowa. Obejrzawszy miejsce i oceniwszy tę złożoną sytuację, generał zaakceptował naszą taktykę.

Ale trzeba było coś wreszcie robić, przecież taka konfrontacja mogła trwać długo. Nie pamiętam już, któremu z oficerów przyszedł do głowy pomysł, by podnieść naszych żołnierzy na pochyłe skały za pomocą dźwigu samochodowego, co pomyslnie wykonaliśmy. Dzięki temu na stałe zdobyliśmy wejście do wąwozu i mogliśmy prowadzić do przeciwnika ogień także z broni strzeleckiej.

Na skałach mieściła się nie więcej niż jedna drużyna, a pogoda była odrażająca; deszcz ze śniegiem i ostry silny wiatr. Wymienialiśmy ludzi co 2-3 godziny. Ludzie schodzili ze stanowisk w takim stanie, że nie zginały się im nawet palce w dłoniach. Karmiliśmy ich gorącą strawą, ogrzewaliśmy w specjalnie rozwiniętym namiocie i znów wysyłaliśmy na skały.

Podszedł do mnie któryś z oficerów 1. kompanii, a to właśnie drużyny z jej składu siedziały

na skałach i powiedział, że jednemu z młodych lejtnantów puściły nerwy i odmawia powrotu na skałę. Za niewykonanie rozkazu można było go oddać pod sąd wojskowy. Znałem tego oficera, nie był tchórzem. Teraz z równowagi wytrąciła go nie bojaźń przed postrzałem, ale prawie tygodniowa próba chłodu. Zimno było nam wszystkim, ale zwłaszcza tam na skałach było ciężko.

U każdego człowieka są w życiu krytyczne momenty i wtedy trzeba go po prostu podtrzymać na duchu. Zaszedłem do namiotu, położyłem mu rękę na ramieniu i zwróciłem się do niego po imieniu; powiedziałem mu, że trzeba iść, że jego żołnierze już poszli, a on powinien iść na czele. Oficer milcząc wstał i poszedł ze swoją grupą.

Przeciwnikowi było łatwiej, gdyż siedział w jaskiniach, gdzie nie kapąco za kołnierz i można było rozpalić ognisko. Odległość między nami była niewielka, w niektórych miejscach wynosiła nie więcej niż 50 metrów. No i w oddziale mieliśmy wielu żołnierzy pochodzących z Centralnej Azji i często z przeciwnikiem przekrzykiwali się. Krzyczeliśmy ze wszystkich sił, a obydwie strony robiły to po rosyjsku, w mocnym języku. Byłem przy jednej z takich pyskówek. Widząc nasze ciężkie położenie krzyczeli do nas, że u nich jest piław, gorąca herbata i francuskie dziewczynki. Na co otrzymywali odpowiedź, że francuskie dziewczynki nie są nam teraz do niczego potrzebne, bo kiedy wejdziemy do wąwozu, to będą nasze.

Zabezpieczenie tyłów tej operacji było zorganizowane bardzo dobrze, łącznie z dostawą amunicji i żywności. Zapasy przywoziliśmy własnymi siłami, gdyż odległość dostawy była mniejsza niż 100 km. Zużycie amunicji było bardzo duże.

Dowódcą kompanii zabezpieczenia materiałowo-technicznego był młodec, kapitan Swiridow, którego często wcześniej sztorcowaliśmy

Pododdział podczas zbiórki





Afganistan

za niedociągnięcia w pracy, ale teraz wszystko działało jak w zegarku. Pamiętam jak na któryś z obiadów na drugie danie, każdemu żołnierzowi wydali po całej gotowanej kurze – brojlerze. Takich norm zaopatrzenia nie ma, nie wiem, jak kwatermistrzostwo to zrobiło. Wyżywienie było tylko gotowane, na pozycje bojowe gorące jedzenie było noszone w termosach. Przez dziewięć dni operacji ani razu nie musiałem podejmować decyzji w sprawie służby tyłów. Zaplecze jest wtedy dobre, kiedy zapominasz o jego istnieniu. Swiridow za tę operację był przedstawiony do odznaczenia medalem „Za zasługi bojowe”.

W siódmym dniu operacji zadzwonił dowódca 40. Armii generał lejtnant Jermak, dowódca lubił nasz batalion, ale teraz zimnym głosem powiedział, że nie pyta o mnie ani o batalion. Powiedziałem mu, że w tej chwili biorę automat i podnoszę batalion do ataku. Maksimum za trzy godziny wezmę wawóz, ale niech przygotują minimum dwadzieścia cynków (cynkowe trumny do wysłania zabitych do Związku Radzieckiego). Poprosiłem też, aby mnie nie popędzał, a za dwa – trzy dni wawóz weźmiemy; zgodził się. Wawóz wzięliśmy za dwa dni, nie straciwszy ani jednego człowieka.

Oficer powinien walczyć mózgiem, to jego główna broń, a pistolet i automat są tylko dla samoobrony. A i bronić się nie powinien sam, nie powinien zaprzętać sobie głowy swoim bezpieczeństwem. W każdym razie począwszy od szczebla dowódcy kompanii.

Jak sobie przypominam udział w tej operacji brał nowy zastępca batalionu do spraw politycznych, kapitan Gawriłow. Przybył, na zmianę w miejsce Woronowa, z Brzeskiej Brygady Desantowo-Szturmowej. Rozsądny oficer, ale nie ostrzelany.

Podczas walk w Wąwozie Marmolskim oficerowie używali kamizelek kuloodpornych



Była to jego pierwsza operacja, a on chwycił automat i próbował zająć się jakąś złożoną sytuacją bojową. Można go było zrozumieć, chciał wszystkim pokazać, że nie jest tchórzem. Wyjaśniłem mu, że żołnierzy w batalionie mam dosyć, a zastępcę ds. politycznych jednego i powinien wykonywać wyłącznie swoje obowiązki. To nie jest Wielka Wojna Ojczyźniana, dlatego ataków z okrzykami „hura” na karabiny maszynowe nie będzie. Potrzebna jest spokojna i żmudna praca.

O bezpieczeństwie dowódcy każdej rangi powiem jedno, powinien być stworzony system, a nie jednorazowe przedsięwzięcie. Po przybyciu do Afganistanu, po przeprowadzeniu pierwszych operacji bojowych zrozumiałem, że nie można normalnie pracować, jeśli ktoś w zespole stale nie zajmuje się twoim bezpieczeństwem i sprawami bytowymi. Właśnie wtedy stworzyłem grupę sztabową. Zebrałem grupę ochroniarzy. Było ich pięciu. Dwaj tworzyli załogę BTR-a – 70, byli to kierowca i celowniczy karabinu maszynowego.

Oni zawsze znajdowali się razem ze mną w każdym miejscu, byli do mnie odkomenderowani na stałe. Nawet znajdując się w obozie, spali w sąsiednim pokoju. Mogłem w ciągu kilku minut, o dowolnej godzinie doby wyjechać z obozu i nie były mi potrzebne dodatkowe siły i środki. Jeżeli przejazdka była związana w dużymi odległościami i przez zagrożone tereny obowiązkowo brałem jeszcze jeden BTR. Numer mojego BTR-a był zmieniany praktycznie każdego miesiąca. W trakcie krótkotrwałych operacji, kiedy nie rozwijaliśmy kuchni polowych, zadaniem tych ludzi było także przygotowywanie jedzenia.

Jeśli wchodziłem do afgańskiego sklepu lub jakiejś instytucji, to jeden z żołnierzy szedł ze mną i stał za mną w odległości metra – dwóch. Drugi pozostawał przy wejściu, trzeci stał pięć metrów od wejścia, czwarty po drugiej stronie ulicy. Oni, chroniąc kolega kolegę, chronili także mnie. Jeden z żołnierzy był tłumaczem. Przez dwa lata skład tej grupy częściowo się zmieniał, jedni odchodzili, w ich miejsce przychodzili inni. Jestem wdzięczny tym chłopcom za to, że pozostałem wśród żywych. Oto i oni:

– Szlepitis i Małyszew, dwaj mistrzowie sportu; pierwszy w boksie, drugi w dziesięcioboju, obydwoj pochodzili z Czyczyka. Odeszli do rezerwy w maju 1982 roku. Dotychczas zarzucam sobie to, że nie przedstawiłem ich do odznaczeń.

- Zair Nażmutdinow;
- Sergiej Razuchin;
- Nurułło Dawliatow;
- Walery Michałdyko;
- Sałowat i Timur (nazwisk nie pamiętam).

Wszyscy ci żołnierze byli z Tadżykistanu, głównie z Duszanbe. Po zwolnieniu pisali do mnie do Afganistanu listy.



Rosyjscy oficerowie
wśród afgańskich
towarzyszy broni



– Dwóch kierowców BTR- a: Bojcow i Stiepanow.

Może, kogoś zapomniałem, dużo czasu minęło. Wszyscy ci żołnierze wrócili żywi i zdrowi do domu. Żal mi mojego ostatniego tłumacza, Sadykowa Gułamżona Galijewicza, który po upływie pół roku po moim powrocie do Związku Radzieckiego, zginął w walce 23.05.1984 r. pod Dżelalabadem.

Wracając do kwestii bezpieczeństwa, przypomnę, że mój przyjaciel i kolega Sasza Timczenko zginął w jednym z dukanów² Kabulu. A dowódca 3. batalionu zmotoryzowanego, 122. Pułku, który stacjonował w mieście Ajbak, major Wasyl Wasiljewicz Gierasimczuk, podczas jednej z operacji został przez duszmanów po prostu uduszony. Jego transporter opancerzony wpadł na mine. Wasyl zeskoczył za najbliższy wał, bez broni. Automat wisiął na pokrywie wjazdu, BTR nie stracił możliwości jazdy i zaczął się cofać, a za wałem znajdowali się dwaj duszmani. W podniesionej wybuchem kurzawie nikt nie zauważył zaginięcia dowódcy batalionu. Osierocił żonę i dwie córki mieszkające na Białorusi.

Któregoś dnia w trakcie blokady wąwozu do batalionu przybył oddział agitacyjny 201. Dywizji Zmotoryzowanej. Mając trochę BRDM-ów z gigantofonami mieli oni osłabiać ducha bojowego przeciwnika.

Poprosili mnie o zaprzestanie strzelaniny i około godziny nadawali do duszmanów, by ci poddali się do niewoli i szli bezładnie do niej, modląc się. Okazało się, że personel z tego oddziału nie zna tradycji ani obyczajów muzułmanów. Natychmiast po modlitwie puścili naszą radziecką muzykę estradową, wtedy moi żołnierze po-

chodzący z republik środkowoazjatyckich zaczęli płuć. Okazało się, że ci biedni agitatorzy sami zepsuli swoją niezłą pracę. Nie wolno było natychmiast po modlitwie puszczać muzyki estradowej i to jeszcze europejskiej.

W noc przed decydującym szturmem na wąwóz, tocząc walkę przedarła się przez wąwóz kompania zmotoryzowana, nie pamiętam już z jakiego pułku. Duszmani więcej niż tydzień powstrzymywali nasze ataki, jednak zupełnie nie oczekiwali uderzenia w plecy.

Niestety, współdziałanie między naszymi jednostkami było źle zorganizowane, łączność odbywała się tylko przez sztab operacji, z sąsiadami nie było bezpośredniej łączności radiowej. Prawdą jest też, że między naszymi jednostkami były duże przerwy, ale było to związane z ukształtowaniem terenu, na którym odbywała się operacja. Według zamierzeń sztabowców drogi naszych oddziałów nie powinny były się przecinać. Każdy miał swój oddzielny kierunek nadejścia, zgodnie z regulaminem działań bojowych w górach. Ale i same góry, i realna sytuacja zawsze wnoszą swoje korekty.

Współrzędne rozmieszczenia naszych jednostek często podawano z błędami i z wielkim opóźnieniem. I kiedy oddziały sąsiadów trafiały w naszą strefę odpowiedzialności, zderzaliśmy się z nimi czoło w czoło; było to całkowicie niespodziewane dla nas i dla nich. Dzięki Bogu, że mieliśmy już bogate doświadczenie w prowadzeniu działań bojowych, w tym i nocą, a przecież dwa razy nasza piechota wychodziła na nas właśnie nocą.

Kiedy mi zameldowano, że w wąwozie zaczęła się bezładna strzelanina, ale pociski nie lecą





„Jak tylko pojawiło się lotnictwo, natychmiast radiem łączyłem się z obserwatorem”.

w naszą stronę, zorientowaliśmy się, że do wąwozu przedarł się jakiś nasz oddział i duszmani prowadzą z nim walkę. Była propozycja, by wesprzeć naszych ogniem i atakować, ale dokładnie nie wiedziałem, kto i gdzie się znajduje i w ogóle co się tam dzieje. Były tylko przypuszczenia. A może to jakiś podstęp przeciwnika? Kiedy zapytałem sztab operacji o to, co się dzieje, oni też nie byli w stanie mi wyjaśnić sprawy.

Strzelanina trwała nie dłużej niż 10-15 minut, po czym bezpośrednio na nas wyszła niepełna kompania zmotoryzowana. Jeślibyśmy wówczas nieopatrznie zaatakowali, zaatakowalibyśmy swoich. Strat w tej kompanii przy wyjściu z wąwozu nie było, nie oddaliśmy do nich ani jednego strzału. Ale przy samym wylocie wąwozu ponieśli straty. Kiedy następnego dnia wzięliśmy wąż, jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia leżał dowódca plutonu z tej kompanii – starszy lejtnant Biełow. Leżał jak żywy, z automatem w rękach; duszmani nie zdążyli go przeszukać i poznęcać się nad trupem. Kula trafiła tego oficera prosto w serce.

Szturm

Zaatakowaliśmy rano, ale tylko dwoma BWP. Było to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie przeprowadzone pod osłoną ognia plutonu siedzącego na skałach, a główne pod osłoną zastony dymnej. Żołnierze ze skał zarzucili wejście w wąż świecami dymnymi. W wąż wdarły się dwa BWP, mając załogi składające się tylko z dwóch ludzi, mechaników-kierowców i celowniczych w wieżach. Niestety, nazwisk żołnierzy, którzy siedzieli za dźwigniami BWP, nie pamiętam. Celowniczymi byli oficerowie: zastępca ds. politycznych 1. kompanii, starszy lejtnant A.A. Stasiuk (teraz mieszka w Doniecku) i dowódca drużyny z tej kompanii, starszy lejtnant Sergiej Pachowski (teraz mieszka w Jekaterynburgu).



Kiedy rozwił się dym i duszmani zobaczyli maszyny bojowe było już za późno. Oficerowie otworzyli ogień do punktów ogniowych przeciwnika. Strzelanie odbywało się praktycznie na wprost, 30 mm działka BWP strzelały seriami. Ale i same BWP były wygodną tarczą strzelniczą. W związku z tym, aby maksymalnie zmniejszyć ryzyko, zaczepiliśmy każdy BWP liną do BTS – i w wypadku ich uszkodzenia wyciągnęlibyśmy je z wąwozu.

Właściwie, szturm prowadziliśmy z pieśnią „Milion purpurowych róż”, w wykonaniu Ałły Pugaczowej. Nadawał ją na cały wąż oddział agitacyjny. Żołnierze do ataku szli z uśmiechem.

W jednym ze swoich wywiadów Ałła Borisowna z dumą mówiła o tym, że nie była ani razu w Afganistanie i miała do tej wojny negatywny stosunek. Jej tu wprawdzie nie było, a była jej pieśń i walczyła.

Szturm się przedłużał. Duszmani uszkodzili jeden z wozów bojowych, ale nie było potrzeby, by go wyciągać. Pod osłoną ognia BWP-ów w wąż wdarły się nasze grupy szturmowe. W ciągu nie całej pół godziny baza duszmanów została wzięta. Wzięliśmy bazę nie straciwszy ani jednego zabitego człowieka, mieliśmy tylko osiemnastu rannych, z tego dwunastu lekko. Wzięliśmy dużo trofeów, samej tylko broni, amunicji i min wywieźliśmy dwie ciężarówki. Zdobyliśmy też kilkanaście różnych samochodów. Żywność pozwoliliśmy wywozić Afgańczykom.

Właściwie kiedy wąż już był wzięty, na minie założonej przy wjeździe do wąwozu wyleciał afgański BTR. Mina była umieszczona w rzeczcze. Tak więc naszym BWP po prostu się powiodło.

Niewątpliwie zasługa w zdobyciu bazy duszmanów w Wąwozie Marmol należy się nie tylko naszemu oddziałowi, ale i wszystkim jednostkom i oddziałom, które uczestniczyły w tej operacji – radzieckim i afgańskim. Bez zmasowanego nacisku na wszystkich kierunkach nie wzięlibyśmy Wąwozu Marmol, ale w ostatecznym rozrachunku to my okazaliśmy się najbardziej bojowym elementem w tej operacji i jest to niezaprzeczalnym faktem.

To, że nie ponieśliśmy nieodwracalnych strat, jest zasługą nie tylko oficerów, chorążych i żołnierzy oddziału, którzy udowodnili swoje wysokie zawodowstwo, ale i kierownictwa tej operacji – generała lejtnanta Szkrudniewa, a także dowódcy 40. Armii generała lejtnanta Jermakowa. Oni nie pchali nas na karabiny maszynowe wroga, nie próbowali osiągnąć szybkiego sukcesu kosztem cennych żołnierskich żywotów, chronili ludzi i bardzo im za to dziękuję.

Po zdobyciu Marmola, gen. Szkrudniew rozkazał przedstawić mi listę wyróżniających się żołnierzy i oficerów oddziału do odznaczenia. Przy-



gotowaliśmy taką listę. Było na niej około dwudziestu ludzi. Kiedy przedstawiłem ją gen. Szkrudniewowi, powiedział, że nie ma na niej dowódcy oddziału i własnoręcznie dopisał na czele listy moje nazwisko z adnotacją – order „Czerwonego Sztandaru”.

Nie otrzymałem tego orderu, widocznie ktoś zdecydował, że nie byłem godny. Właściwie nie otrzymałem odznaczenia nie tylko ja. Oficerowie, którzy pierwsi wdarli się do wąwozu w BWP, byli przeze mnie przedstawieni do orderu „Czerwonego Sztandaru”. Ale o ile Stasiuk go otrzymał, to order dla Pachowskiego znalazł się dopiero w 2003 roku i wręczał mu go były dowódca 40. Armii, generał armii Jermak.

Zdobyła w Marmole broń miejscowe władze przez dwa dni demonstrowały w Mazar-i-Szarifie, a potem pokazywały ją w Ajbaku.

Zdobyto wówczas niemało różnych przyrządów optycznych. Dowodzący lotnictwem 40. Armii pułkownik Miedwiediew, który czasami sam siadał za sterami helikoptera bojowego i szturmował duszmańskie pozycje, oglądając trofea, chciał wziąć sobie jedną z lornet. Ale była ona niezbyt dobrej jakości i ja z wdzięczności za świetne wsparcie nas lotnictwem, zaproponowałem mu dobrą japońską lornetę, ale powiedziałem, że znajduje się ona u nas na PPD³. Natychmiast otrzymałem propozycję wspólnego lotu. Miedwiediew sam siadł za stery i za trzydzieści minut byliśmy na miejscu.

Helikoptery, bojąc się ostrzału z ziemi, zawsze latały nie niżej niż na pułapie 2000 metrów i podszedłszy do wyznaczonego miejsca kręgami obniżały wysokość i siadały. Kiedy podlecieliśmy do naszego obozu, Miedwiediew zapytał, ile



mam skoków ze spadochronem. Kiedy mu odpowiedziałem, stwierdził, że teraz będzie jeszcze jeden skok, ale bez spadochronu.

Na wysokości 2000 metrów wyłączył silnik i jak powiedział, zaczęliśmy szybować, po prostu opadać w zupełnej ciszy, ale wystarczająco stabilnie. Uszy zatykało nam jak przy skoku ze spadochronem. Starszy lejtnant, pilot tego helikoptera, który siedział obok mnie, powiedział, że jego, za takie „piękne sztuczki” sam Miedwiediew posadziłby do aresztu. Na wysokości 200-300 metrów Miedwiediew włączył silnik i pomyślnie wyładowali. (...)

Bój o Wąwóz Marmol był ostatnią, większą operacją, w której miałem uczestniczyć. Znowu zaczęło się rutynowe bojowe życie.

Tłum. Kazimierz Kraj

1 cirandoj - milicja
2 dukan - sklep, stoisko bazarowe
3 PPD - punkt stałej dyslokacji.

Fot. archiwum autora



Prezentacja uzbrojenia
Armii Czerwonej
notablom afgańskim
w Akczi,
23 lutego 1982 r.